A. Jaczak

Nieznośny łoskot ciszy

Jola stoi nieruchomo nad świeżym grobem przykrytym dziesiątkami wieńców i wiązanek. Tabliczka z imieniem i nazwiskiem zmarłej zawieszona na wierzchołku krzyża jest spod nich ledwo widoczna. Ksiądz i inni żałobnicy dawno się rozeszli. Tylko ona wciąż nie może się oderwać od tego miejsca, gdzie przed chwilą wieczne schronienie znalazła osoba, która przez ostatnich parę lat powinna być dla niej najbliższą istotą na świecie, a w rzeczywistości była tak odległa jak odległe mogą być dwie galaktyki położone na przeciwległych krańcach wszechświata.

Tak bardzo chciałaby ją teraz przeprosić za ten czas zmarnowany, miniony bezpowrotnie, przytulić się, powiedzieć, że kocha ją mimo wszystko. Potem usiąść z nią przy kawie i wyjaśnić sobie wszystkie nieporozumienia, narosłe od nie wiadomo kiedy, przeprosić, wybaczyć, zacząć od nowa. Wie, że to niemożliwe. Umarli nie tylko milczą jak zaklęci, umarli są również głusi bardziej niż pnie drzew rosnących przy cmentarnych alejkach.

Być może w krainie nazywanej zaświatami Marta usłyszy jej głos albo nawet tylko myśli niewypowiedziane, które teraz kołaczą się w jej głowie, i ucieszy się z tej niewczesnej skruchy. Kto jednak może to wiedzieć? Przez całe życie wydawało jej się, że wierzy niezachwianie w taką pozagrobową obecność. Była to jednak wyłącznie wiara formalna, recytowana na pamięć podczas kościelnych nabożeństw. Teraz, kiedy jest jej potrzebna bardziej niż kiedykolwiek wcześniej, nachodzą ją przeróżne wątpliwości. Tak bardzo chciałaby, żeby jej prośba o przebaczenie dotarła do zmarłej siostry, została przyjęta i żeby, kiedy wybije jej ostatnia godzina, Marta przywitała ją ze szczerą radością.

Przecież jeszcze niedawno naprawdę wiele je łączyło. Odwiedzały się wzajemnie, kiedy żyli ich mężowie, i później, kiedy obie niemal równocześnie owdowiały. Dzieliło je od siebie zaledwie czterdzieści pięć minut jazdy podmiejskim pociągiem, więc bywały u siebie prawie w każdy weekend. Razem wyjeżdżały na wycieczki organizowane przez Klub Seniora, którego Marta była aktywną działaczką. Święta? Obowiązkowo u Joli, bo nikt w całej rodzinie nie potrafił lepiej przyrządzić karpia po żydowsku albo wielkanocnego żuru na wywarze z szynki.

Jakieś pięć lat temu, a może sześć, a może tylko cztery – dziś mylą jej się te wszystkie daty – Jola poprosiła Martę o drobną przysługę. Nie pamięta teraz, o co dokładnie chodziło, widocznie z perspektywy czasu okazało się to nie aż tak ważne. W każdym razie Marta odmówiła, niespecjalnie tłumacząc przyczynę swojej decyzji. Jola uznała taką postawę za niewybaczalną. Obraziła się. Powiedziała kilka gorzkich słów do słuchawki i odłożyła ją bez

pożegnania. Marta obraziła się na obrazę Joli i od tej pory przestały się spotykać zarówno w weekendy jak i w święta. Z upływem czasu Joli coraz bardziej brakowało tych kontaktów, nigdy jednak nie zdobyła się na uchylenie, choćby o rąbek, żelaznej kurtyny milczenia. W końcu to Marta powinna pierwsza wyjść z inicjatywą. To ona okazała się wyrodną siostrą, odmawiając jej pomocy i nawet nie próbując tego wytłumaczyć. Zapewne Marta myślała to samo w drugą stronę i cierpliwie czekała na pojednawczy gest ze strony młodszej o rok siostry.

Nie doczekała się. Jola, stojąc nad świeżą, obficie ukwieconą mogiłą, marzy o tym, by choć trochę cofnąć czas. Niekoniecznie o te pięć czy ile tam lat. Choćby o miesiąc, kiedy dowiedziała się o jej ciężkiej chorobie i nie zdobyła się na odwiedziny, które mogłyby wszystko wyjaśnić. Duma jej na to nie pozwalała. Trzydzieści dni. Trzydzieści zmarnowanych okazji na pogodzenie się przed ostatnią podróżą.

Dlaczego była tak uparta? Dlaczego nic nie poruszyło się w jej sercu, kiedy Arek – siostrzeniec przekazał jej telefonicznie niepokojącą informację? Wzruszyła wtedy ramionami i pomyślała, że ma głęboko w nosie stan zdrowia tej wrednej małpy, która rodzonej siostrze odmówiła pomocy w ważnej dla niej sprawie. Ważnej? To dlaczego teraz nie potrafi sobie przypomnieć, co to była za sprawa ani kiedy dokładnie to się wydarzyło? Myśli tłuką się po jej głowie i łoskoczą jak pociąg, który toczy się właśnie po torach biegnących niedaleko cmentarza.

Może Marta zza grobu wybaczy jej tę zatwardziałość. Może wybaczy jej Bóg, o ile w ogóle ma głowę do takich drobiazgów, kiedy z wysoka spogląda na świat pełen zbrodni i wszelkiego plugastwa. Ona jednak sobie sama nie potrafi wybaczyć. Przynajmniej nie teraz, nie nad tym grobem dopiero co zakrytym betonową płytą przez grabarzy.

Klęka przy grobie. Drobne kamienie, którymi usiana jest ścieżka biegnąca wzdłuż rzędu kwater wpijają się w jej kolana. Ranią. Nie dba o to. Wybucha głośnym płaczem, tak głośnym, żeby przedarł się przez stertę kwiatów, betonową pokrywę i wieko trumny, albo wzniósł wysoko ku niebu, tam gdzie zapewne przebywa teraz dusza Marty. Odpowiada jej martwa cisza. Loskot pociągu na pobliskim torze oddalił się i umilkł. Teraz jedynie w głowie Joli dudni ta pustka pozostawiona przez zmarłą Martę. Żaden znak nadprzyrodzony nie potwierdza, że jej szloch został usłyszany. Ich wspólny czas dobiegł kresu i zatrzymał się na progu zwanym śmiercią. Za tym progiem jest tylko milczenie.